

Donat Kirsch

## Nasz pierwszy świat\*

Pawłowi

Everybody's a dreamer everybody's a star  
And everybody's in movies, it doesn't matter who you are.  
Fragment piosenki grupy The Kinks: *Celluloid Heroes*

Przed snem, który wszyscy śnimy, jakby nam za to płacono, jest nasza drwina: gdzie i kiedy – no, po prostu nigdzie. Jesteśmy bezsilni, mówiłem Jakubowi, gdy leżeliśmy na płytce mieliznie Chechła, a wiatr rozniecał włosy dziewczyn, które czekały (niekoniecznie lub wyłącznie) na nas lub istnienie ruchomych fal ciepłej wody. Historia nie sięgała pamięci, a pamięć historii: w pojemności informacyjnej świata niektóre byty wykluczały się szczególnie: w końcu Boga uznawało się w postaci opiekuna, włochatego spojrzenia jak prehistoryczny miś – bo byliśmy (i jesteśmy) prehistorią prawdziwej ludzkości, nic czasem nie znaczymy poza tym, że musimy być. Chciałbym, żeby ten świat był taki, jakim zastaliśmy wtedy – inaczej pozostanie nam przypadkowa liturgia: wśród roślinności naszych oczu; byliśmy grupką piskląt na huśtawce – to tylko uparta pamięć robi coś za nas. W końcu każdy chciałby, jak mawiał Sebastian, aby pierwsza napotkana dziewczyna była tą, którą będziemy kochać: żebyśmy nigdy nikogo nie tracili i nie odnajdywali się później, żeby nikt nie wracał do nas zmęczony i pragnący naszej pomocy, a tylko zdychał sobie i cicho – przez nas nie dostrzeżony, bo po co zawracać sobie głowę tymi, którzy i tak przegrają – kochamy ich przecież nie mniej niż siebie samych: to tylko widzenie niemożliwej do uzyskania plecionki nam przeszkadza – są to rośliny jak niedbałe nacięcia w powietrzu – te, które wydobywały wszechobecną zieleni. Sebastian, mój brat, koniecznie mówił o przewieszanej przez poręcz mostu arce, w czasie gdy opowieści o budowaniu arki właśnie zasypiały nam bezczelnie w oczach – chciałem po prostu pogodzić się z tym, że historia ludzkości zacznie się za tysiąclecia, gdy świat zamknie się w stwarzanym mrowiu tego, co pojedyncze nazywamy universum – będzie można spać spokojnie. Wszyscy będziemy rolnikami pojmowani już w sensie nawozu – tak jest teraz i tylko teraz przejmują nas teorie i mity kosmogeniczne, gdyby tak nic nas nie obchodziło inaczej. Jakub opowiadał mi, jak spokojni ludzie, pilnowani przez zakonnice, przychodzą co niedziela na mszę do kościoła w Borosławicach: parami i trzymając się za ręce. Rozmawialiśmy

\* Pierwodruk w: „Twórczość” 1977, nr 12, s. 70–77. Niedawno tekst ukazał się w tomie D. KIRSCH: *Chronologia borealna*. Warszawa 2017.

wtedy często o legendzie świadomości, i spiraliśmy się, co też warta jest muzyka, Moody Blues, nieomal przechylone złociski przybierały znaczenie błysni: tylko i naokoło. Jakub marzył o momencie skoku w wodę jeziora (przypominałem mu to w czerwcu): toteż w nocy, gdy z Sebastianem wypłynęliśmy na oświetloną księżycem taflę, mokre włosy opierały się o nasze karki: widziałem punkciki gwiazd, na brzegu nikt nie czekał, tylko Jakub kiedyś powtarzał, że zmęczenie latem nigdy nikomu zaszkodzić nie może. Zasyślałem zmęczony kłótnią z nadmiarem słońca. Nocą, w czerwcu 1972 roku, w pełniętej latarni tłukły się chrabąszcze i rozdeptywaliśmy je, gdy spadały na ziemię, mówiliśmy o jasnowłosej Marii, chociaż nie wiedział nikt, co się z nami stanie. Wreszcie przyjechał autobus do Borosławic, wstaliśmy z krawężnika, gdzie siedzieliśmy rozmawiając, i wracałem do domu boso: ciepły asfalt łaskotał stopy, a niedawne deszcze zmyły nieodpowiednie okruchy szkła. Czekał mnie dom i nie musiałem już podglądać ukryty w złotej forsycji sklepanej z desek chałupy ojca ludzi, nikt nie rzygał oparty o róg domu lub jak ja: klęcząc przed muszlą klozetową, żegnałem się z boczkami, śliwkami i wielką ilością jarzębiaku, i czułem się później cudownie: Jakub i Józef zanurzyli się w pijackiej pogawędce o moich, między innymi, święństwach: zdołałem im poradzić, by się nie opierdalali i mówili, co chcą – także o mnie, bo czułem się cudownie: firanka tańczyła i cicho krzyczała, okno było otwarte i słuchałem muzyki Moody Blues, i zasyślałem o pierwszym śladzie snu naszej cywilizacji: to tylko nieodległe leszczyny liściły się rozchłapane przy szarym murze, słodki sok na liściach klonów – to nie wystarczało, były trawy pełne zwierzęcego ruchu, wtedy w czerwcu już szarawe od kłosów. Rano doszliśmy z Józefem do wniosku, że Ulisses jest pierwszym znakiem, że nasza cywilizacja (jak przypuszczają niektórzy) zamknie się w sobie. W parne lub suche i ciepłe noce lipca chodziłem po chodnikach GT z różnymi dziewczynami.

Na drzewach są ciemnozielone liście i śliwki fioletowe, i złote, wyrastają w wielkiej ilości. Gałęzie zbliżają się do ziemi pociągane ciężarem owoców. Drzewa są niskie.

Niestety byłem zakłopotany tym, że każda z tych dziewczyn jest dla mnie tylko fragmentem mozaiki, opowiadałem więc o tym, że jadąc w czerwcu 1972 roku do Jakuba, wymijałem samochodem lecące z przeciwka chrabąszcze (bo rozbijały się o szybę) i nieomal w zapamiętaniu spotkałem się z drzewem: chrapliwa kołysanka ciepłej kory i ciepły asfalt szurający pod kołami: zastanawialiśmy się, Jan i ja, czy nie lepiej byłoby nie wymijać chrabąszczy, szkoda nam było życia, Jan i ja zdawaliśmy maturę. Jan świetnie grał na gitarze jazzowe ballady, ja lubiłem myśleć o universum, bo była to, poza dziewczynami, jedyna rzecz, która mnie chociaż trochę interesowała: umieramy przecież, zanim cokolwiek dotknie naszych oczu

naprawdę, nie padają deszcze, zamknięte powieki nie są z zewnątrz wilgotne, jesteśmy usidleni, gdy jest już zbyt wcześnie – jesteśmy tak bardzo nieśmiali: w kilkudniowym klimacie deszcze padały nocą: nieliczne i ciepłe krople, w dzień słońce oświetlało schnące na asfalcie kałuże (płytkie bardzo) lub opadłe kwiaty klonów – puszyste wilgotne w cieniu drzew lub poza nim: męczyliśmy noce rozmowami, śpiąc za dnia, i tylko ręce Marii trzymały czas. Marię kochałem, bo pozwalała robić ze sobą wszystko, i miała jasne, sięgające połowy szyi włosy, które w nocy były aż białe, i leżąc na niej mogłem bez trudu wyobrazić sobie wszystkie dziewczyny, których chciałem – a było ich zbyt wiele, bym mógł skutecznie zrobić cokolwiek. Coś ścisnęło mnie za gardło, gdy stałem z Marią w mroku lub inaczej pojmowałem jej poruszanie się: nocami w domu budziłem Sebastiana, gdy ścisnął mi gardło paniczny strach przed śmiercią lub siedziałem na podłodze oparty o tapczan i patrzyłem w topole, które zresztą szybko i bezsensownie wycięto i pozostawiono na długo na ziemi: więc Sebastian chodził tyle razy żegnać się z nimi i wracał, klnąc na skurwysynów, którzy kazali wycinać te drzewa. Rano siedziałem na ławce, patrząc na dzieci, i byłem pewien, że kiedyś będę miał własne – parszywy problem płodzenia bęcwałów: nie tylko Johny South śpiewał o grach, w które grają ludzie: izerzyskujemy, śliniąc palcem policzki, bo już święty Piotr płakał, stoją nam włosy na plecach, gdy zmiana pogody robi z nas bohaterów – chciałem, żeby tak było, i zaczynałem wstępne rokowania ze światem, niemniej Maria znała mnie zbyt dobrze: pieściłem pewnymi palcami jej uda, więc oddychała cudownie głęboko: jej skóra musiała pachnieć roślinami, wobec czego kopulacja odbywała się (na tapczanie lub na trawie) w sposób roślinny, obserwowaliśmy z zewnątrz nasze ciała, uśmiechając się do siebie (ponad nimi) w wyrozumiały sposób: byliśmy rozkrzępłym kwiatem lub zastygłą bryłką żużlu zamiast oczu: tylko mój beztroski członek wyczyniał nieobojętne mi harce. Byliśmy razem, trawy mąciły jednolitą niebieskość, ich kłosa były puszyste lub miękkie: niewyobrażalnie widziałem Marię jak przypadkowe zgęstnienie mroku, dla uspokojenia wymyślałem perfidne sposoby rozstania się – to było dla mnie jedynym punktem oparcia. W jej oczach też dostrzegałem szepocącą się trwożliwie roślinność, tylko przewyrosłe liście opierały się jakoś – nie chciały odejść ani po prostu zaistnieć. Ciemność wśród pasm, które nazywamy jeszcze umownie trawą – jeszcze to potrafimy robić. Gdy Maria chciała rozmawiać, uśmieszałem ją wytrwale, była przecież o rok starsza i chodziła do tej samej co ja szkoły, mówiła, że jestem natrętnym szepczaczem mroku i liście miały jaśniejsze spody – widziałem to, gdy wiał suchy wiatr, najładniejsze były wtedy liście czereśni i grocho-drzewu, sad i skwer lub ulica, ale ja byłem już wtedy daleko od jej słów. Nieznane przez swój ogrom zamierzenia Jakuba, by zbudować

w tamtych czasach arkę. Na razie jednak Jethro Tull nagrali *Gruby jak cegła*, więc rozmawialiśmy tylko o tym, nieznanne jesiony zacieśniały się nad rzeczką w Borostawicach – we wrześniowym ogrodzie Pawła jadłem niewielkie i słodkie jabłka, agrest był najeżdżcą, wszyscy najeżdźcy kochali porzeczeki (jak można się domyślać: wąskie pasemko koturnu i przekornie zmrużone oczy) i skradanie się przyjaznej trawy, w ogrodach miasta były grusze i rabarbar opłachcany liśćmi najwyższych okazów: Paweł miał iść do wojska na dwa lata, byłem przerażony tym, co go czeka, wiedział, że będzie powoli zdychać. Czerwiec jednoczył wilgotny dzwon i nieśmiały deszcz: współtworzyły dźwięk, umierała wzniosła historia agrestu, jak prawa nazw zawilego wzoru cieni na ścianie, a żwir ścieżek, którymi chodziłem z Marią (ubrała się raz w żółtą sukienkę, była jasna w całości), zmieniał światło w szmer drwiących głosów.

Drzewa, jest ich kilka, rosną trochę dalej. Niebo jest jasnoniebieskie – koniec sierpnia. Słońce jest nisko o tej porze dnia. Śliwki, którymi obwieszona są najniższe gałęzie, mieszają się z wysoką i trochę pogiętą trawą, która tu wszędzie rośnie.

W czerwcowe niedziele kaprysił, na wargach Marii i moich, gorzkawy sok z owoców, inne owoce, te za płotami, spadały lub odkłaniały się, gdy przechodziliśmy obok (sandały Marii na opalonych łagodnie nogach), przyziemnym podmuchom niedzielnego wiatru, który zamiatał płyty chodnika: w porannej zapowiedzi upału mijaliśmy skłębioną strefę ogrodu. W sferze doznań uznaliśmy wypełnianie się niedzieli wiatrem, byliśmy spragnieni owoców: tak zmyślałem kąpiel w gorzkawym soku lub jechaliśmy z Marią nad jezioro: kierowcy widząc Marię, zatrzymywali się chętnie i podwozili nas nad Chechło: tam ścieżką szliśmy wśród małych brzoź i dębów nad wodę poprzez łubin, najczęściej byli na brzegu Jakub i Paweł: w czerwcu liczne krzaki jaśminu, chłodny lipiec, cześć, stary draniu, mówił nad wodą Jakub, woda odbijała światło, fale niemal ugięły się, migocząc pod jego naciskiem. Nazbyt duże kwiatki pełne świeżego zapachu, Paweł zrzucał je, stojąc na drabinie, aż do trawy: przy nasadzie kwiatów i w ich wnętrzu żyły mszyce, które zganiałem silnym strumieniem wody, ale świnię przełaziły na drugą stronę – nie potrafiłem niestety opanować lęku palców, niech będzie to śmieszne: po pierwszych miesiącach znajomości w Marii odezwał się instynkt opiekuńczy: była w wieku, gdy kobieta już chce mieć swojego mężczyznę nieomal na własność i wmawia sobie, że takiego spotkała: niestety mężczyźni jest to gatunek ginący, na całym świecie jest kilkadziesiąt egzemplarzy (nie liczę tych, którzy porozłazili się z głównej drogi, diabli wiedzą gdzie, urzeczeni legendą świadomości, może i Moody Blues, na tajemniczych ścieżkach małego universum świadomości). Każde dziecko mimo to wie, co należy robić w tym celu, któż nie słyszał o Julianie Apostacie lub Freudzie i o wielu innych:

droga jest więc prosta, jak w pysk strzelił – ja osobiście uznałem proces ten za zbyt męczący i wolałem kochać się z Marią na skraju pola białego i sypkiego zboża, jej włosy. Maria jednak uparcie (jej zielone oczy były wtedy ciemne, choć tak jakoś przejrzyste – moje tęczęwki też są na brzegach zielonkawe, więc rozumiem, co to znaczy) pytała mnie o moją postawę wobec świata, odpowiadałem (bo jak każdy przeciętny człowiek nie lubię takich pytań), cytując kogoś, że chcę żyć jak ktoś, kto nigdy nie istniał naprawdę – wywoływało to oczywiście nowe eksplozje uczuć, chciałem być blisko tej wariatki o pozornie kruchym i nieśmiałym ciele, tłumiliłem je moją niewydarzoną złośliwością, rozcieśniałem, jak mogłem. Jan zaskakiwał mnie swoimi wyczynami, był niedościgłym na kilka minut wzorem: Jakuba zastaliśmy w ciepłą noc na ławce przed domem, piliśmy wodę i u Jakuba był Daniel, poszliśmy później na łąkę za domem gupich (jak to precyzyjnie określają ludzie z miasta i ze wsi).

Idą do drzew ze śliwkami. Agata, daleka kuzynka, ubrana jest w spodnie Rifle i czerwony sweterek, włosy ma ciemne, trochę kręcone. Dawid i Sebastian bardzo podobni do siebie, ubrani są w spodnie Levi's i niebieskie koszule.

Trawa w Borosławicach szumowała pod stopami: to tutaj we wrześnie tarzałem się z moim psem pomiędzy pogniecionymi lub nie tkniętymi źdźbłami, dwadzieścia metrów ode mnie Józef i Grażyna, był zmierzch, całowali się stojąc, Jakub sto metrów dalej budował arkę, był zmierzch wtedy i w czerwcu szliśmy przez suchą i wilgotną trawę, pełną życia, morze suchości (ale nie jezioro – tak jakoś się składa) lub my: nisko zwieszony gwiazdy w czerni nocy mówiliśmy o tym, że świat zaśnie, mówiliśmy mu dobranoc, bo później łąkę zryły kopyta koni, na których jeździły studentki koniarki i studenci koniarze: w kółko, aż do znudzenia po klepisku, gdzie rosła trawa, oczy trawy i jej płachtą jak skóra zwierza nocy, podbiegająca pod smugą grabów i wierzb, które odsłaniały swoją wyrwykowością gwiazdy. Kochałem więc, bo cóż mi pozostawało wobec uroczej zaborczości Marii, trawę, która łąsiła się jak małe zwierzątka (za łąką była rzeczka i na mostku rozmawialiśmy tak często), dając wzór dla chybotliwej roślinności moich oczu: nie bądź durniem Dawid, mówił do mnie Daniel, wiesz przecież, nazywaj, co chcesz i jak chcesz, trawiasta opowieść wrasta w milionlecia, odpowiadałem, maleńcy stwórcy uciekają, tupocząc bosymi stopami, a opowieść trawieje coraz bardziej – jakby dotyk małych łapek przebiegających po twarży, trawa jest trawą, słyszę znowu Daniela, drzewa są drzewami, być może tak jest lub nie – wtrącił się Jan, ale wiedz, Dawidzie, dokładnie jest tylko jedna rzecz, ta cała reszta, dotyk, myśli, to jesteś tylko ty.

Przechodzą przez nierówne podwórko przed świeżo zbudowanym i nieotylnowanym domem. Dom ma kształt sześcianu,

schody prowadzące do drzwi nie mają jeszcze poręczy. Ściany zbudowane są z szarych pustaków i cegieł. Na ziemi leży pył i okruchy budulca.

Odpowiadałem w klubie „Fioletowy kot”, piliśmy po raz piąty sok pomarańczowy, pijani umieraniem wrześnie, że Daniel musi zapomnieć o sobie, bo nie istnieje nawet po części tak wyrafinowanie, jak trawa. Miałem rację, więc Daniel i Jan wstrzyknęli sobie do żył przestarzałą morfinę, którą skądś jeden jedyny raz wytrzasnęli, i pytali mnie, patrząc w oczy, czy mają małe źrenice. Zostawiłem ich pod opieką Józefa i Jakuba i pojechałem do domu.

Na podwórku kręci się kilka kur. Dwie są białe, a jedna brązowa. Słychać gdakanie. Sebastian, z poważnym wyrazem twarzy, przepłasza kury, klaszcząc w ręce. W powietrzu kołysze się kilka piór z ogona i spod skrzydeł.

Tego dnia wieczorem grałem z Sebastianem w pokera o dolary, które były nasze wspólne. Sebastian latem wracał rano z pracy w przetwórni owoców „Las” – on spał, gdy ja pływałem w Chechle, wszystko było w porządku, witały go białe sufity mieszkania, gdy wracał zmęczony do domu, sufit zwieszał się nad nim i mówił mu o jego zmęczeniu, trzymał się nad nim, wiążąc wzrok, gdy.

Wchodzą przez otwór na drzwi do świeżo zbudowanego z pustaków pomieszczenia. W środku jest ciemniej, Agata potyka się o leżące bezwładnie kawałki gruzu, Sebastian ją podtrzymuje. Dawid trzyma w ręku nieduże radio tranzystorowe.

Ja jechałem autobusem nad Chechło (5 minut), a Sebastian zasypiał, na balkonie leżał pies grzejący się w słońcu i poszczekujący basowo na tych, którzy mu się nie podobali: był czerwiec i kwitły łubiny, pierzaste jak roślinność z innej planety.

Słychać głos czytającego dziennik radiowy. Później jest muzyka, zaraz po radosnych wieściach z kraju i ze świata. Przechodzą na ukos, idą wolniej, bo jest ciemno. Agata idzie pierwsza do małych drewnianych drzwiczek, które są zbite z kilku desek.

Stoki nadziejne były niebieskie, spotkałem Józefa i Artura, ale oni odjechali, bo chcieli iść do kina na *Na samym dnie*.

Agata otwiera drzwiczki i przechodzą, pochylając się mocno. Dawid idzie kilka kroków za Agatą i Sebastianem. Na chwilę przystają na kawałku ziemi otoczonym murkiem. Dawid pyta, co tu będzie, a Agata odpowiada, że kurnik. Niebo nad ich głowami jest jasnoniebieskie i słaby wiatr potrąca im włosy. Idą obok niedużego pola ciemnozielonych ziemniaków. Podchodzą do drzewek. Pnie są cienkie i trzymają się ich ślady przestarzałego wapna. Dawid schyla się i trochę opadają mu włosy. Kładzie radio na leżącym tutaj pustaku. Zespół Pterodaktyl i Dinozaury śpiewa swój aktualny przebój. Cienie drzew są już długie. Wysoko krążą jaskółki. Niektóre liście są już żółte. Na ziemi wśród wysokiej trawy i nielicznego ostu

leży trochę kamieni i wiele śliwek: fioletowych i złotych, niektóre kuliście gniją. Podchodząc do drzewek, rozdeptują leżące na dole śliwki, które już spadły. Dawid podchodzi do drzewa z fioletowymi, a Agata i Sebastian do tego, na którym rosną złote. Za niedużym sadem są pola na dużym i opadającym łagodnie stoku. Kilka kęp drzew i prosty kanał melioracyjny. Sebastian mówi głośno o tym, jakie złowił ryby. Dawid mu dokucza, twierdząc, że były to płotki, niezbyt duże na dodatek. Wszyscy śmieją się, Agata najgłośniej. Tamtych dwoje zrywa śliwki rękoma. Dawid przyciągnął gałąź do ust i je w ten sposób, co chwila wypluwając pestki i czasem ogonki. Ciemnozielone liście odginają się na jego twarzy we wszystkie strony. Gdy przysuwa głowę, wybierając śliwkę, liście mieszają mu się z włosami. Agata mówi, że zaraz trzeba iść, bo na pewno czekają już na nich. Dawid odpowiada, że nic nie będzie, i zaraz przyciąga inną gałąź. Teraz Agata, która ma szare oczy, i Sebastian podchodzą do Dawida. Sebastian schyla się i bierze radio. Gra grupa Sweet. Agata stwierdza, że jej się to podoba. Dawid wstaje na palce i traci równowagę, poślizgując się na palcach, ale nie upada. Je dalej. Sebastian daje Agacie radio, a sam rzuca kilka razy w jeden z metalowych słupków, na których ma być zawieszone druciane ogrodzenie, siatka na nic. Ani jedna z rzuconych śliwek nie trafia do niedalekiego celu. Sebastian rzuca kamieniem, który odbija się głośno i cicho upada na trawę. Słysząc krótki i głuchy dźwięk prawie bez wibracji. Sebastian śmieje się, a Dawid mówi, odwracając się na chwilę, że lepiej późno niż wcale. Agata oddaje Sebastianowi radio, podnosząc rękę wysoko, niemal do linii oczu. Dawid przestaje jeść fioletowe śliwki i idzie w kierunku drzewka z żółtymi. Idąc, je dalej. Teraz Agata zrywa kilka fioletowych i wkłada je, trzymając końcami palców, do ust Sebastianowi. Także Dawid zrywa ręką śliwki, sok spływa mu po brodzie, owoce są trochę przejrzałe. Ociera brodę wierzchem dłoni, kciuk jest lekko odchylony.

Wieczorem mgliły się na niebiesko rozległe stoki niecki jeziora.

Dawid wyjmując z kieszeni zieloną chusteczkę i wycierając dokładnie ręce, wypłuka na bok pestkę. Nad ich głowami przeleci bocian, słysząc szum jego skrzydeł. Sebastian mówi, że powinni już wracać. Dawid przyznaje mu rację. Agata wkłada ręce do kieszeni na pośladkach. Sebastian twierdzi, że musiało być na tych gałęziach bardzo dużo kwiatów. Odpowiedź Agaty jest twierdząca.

Cesałem włosy nie znanej mi jeszcze przed godziną dziewczyny. Siedzieliśmy zawinięci w jeden koc, chociaż wcale nie było tak zimno: to na wodzie kwitła moczarka lub coś innego, na biało-żółto – jak łachy piasku, jakby poziomy jeziora nagle się obniżył: wracałem boso, bo miałem stopy stwardniałe, nad głową i szosą łączyły swoje gałęzie kasztanowce i klony.

Powoli idą wzdłuż pola ziemniaków. Teraz kolejność jest inna: pierwsi idą Agata i Dawid. Światła samochodów widziałem w tym przerywanym tunelu już z daleka.

W mieście plamy listków grochodrzewów zieleńły się w świetle latarni, tutaj asfalt był ciepły, falowały ześlizgujące się po rytmie powietrza ćmy, bezszelestnie przeleciała sowa, a włochate nietopere popiskiwały dziarsko, o czym wiedziałem: były mi bliskie dlatego, że słyszały moją głowę jak tak wszechstronną dziurę, w którą nie można nawet wpaść.

Sebastian idzie za nimi. Jest zajęty nastawianiem linii na skali radia.

Krótko mówiąc: nie dorastałem do śmiałego zamysłu budowania w tamtych czasach arki. Jesteśmy także marynarzami, składając się w zasadzie przede wszystkim z wody, chociaż nie krople, lecz ich domysł lub próba, to nie wszystkim wystarcza. Dopiero niespodziewana kąpiel po pamiętnych zdarzeniach (ale wtedy już nie dysponowałem arką, raczej była nią dla mnie zwykła wanna) przypomniła mi wszystko od nowa: tylko i wyłącznie z przekory podejrzewałem Jakuba, że zamiast arki sprokurował sobie (podobnie jak ja) najzwyklejszą w świecie wannę – lecz cóż, oczy śmieją się na wspomnienie tak dawnych czasów, byliśmy szczęśliwi tym, co znajdowaliśmy, tylko i wyłącznie moja niedojrzałość narzucała mi tę nieufność i – co tu skrywać – zazdrość: nie wiedziałem dokładnie, do czego służy arka, czym różni się od wanny, jaka jest różnica między pluskaniem a szumem; w wannie lub na brzegu (niejako) wanny lubiłem kochać się z Marią: ale arka? nie wiem, zapomniałem o Marii, zerwaliśmy ze sobą, nie ma przecież różnicy między dwoma dowolnie wybranymi dniami, rzeczy nie mają nic wspólnego ze sobą, są nieporównywalne, lecz czy nie takie same? Toteż gdy Maria uczyła się.

Teraz Sebastian przysunął radio blisko do oczu. Usiłuje odczytać oznaczenia na nieznanym bliżej aparacie. Woła Agatę i pyta się o to już wtedy, gdy Agata nie odwraca.

Nazywała miłość po swojemu i nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Agata podchodzi. Znowu traci równowagę.

Ciężkie piersi kołyszą się, pomimo biustonosza, mocno pod czerwonym sweterkiem. Palce Agaty obejmują prawą stronę (patrzac tak jak ona) białego radia, lewą podtrzymuje Sebastian. Palcem drugiej ręki Agata dotyka skali. Przesuwa go w miarę tłumaczenia, raczej powoli. Głowy Agaty i Sebastiana stykają się: włosy ciemne i rudawe. Dawid stoi z rękami wsuniętymi za skórzany pas i czeka.

Miałem wrażenie końca liturgii.

Uśmiecha się ze zrozumieniem, gdy radio znowu gra głośno.

Rozmawiałem z Grażyną, ucieszony, że pod czarnym swetrem nic nie zwykła nosić, o języku gestów i znaczeń postępowania lub słów jako oznaczniki z innym znaczeniem, sam fakt mówienia, a nie to,

co się mówi, którym gramy ze sobą, na jej nabijanie się z Freuda odpowiadałem, że był on ważniejszy dla ludzkości od Kopernika lub tak samo ważny, usiłowałem nazywać rzeczy, które są jeszcze jednym językiem, rzeczy nie mają nic wspólnego. Czasem Grażyna twierdziła, że chce iść, więc zatrzymywałem ją, obejmując wpół – mówiliśmy tym samym językiem. Niestety w domu leżał zapomniany kalejdoskop, nie tylko tak: moja tępota nie pozwoliła mi zrozumieć niczego.

Idą teraz równo: Agata w środku, a oni po bokach.

Starałem się niepojęty świat śmiałych zamierzeń budowniczych (do których zaliczał się Jakub) ściągnać z piedestału, wymieszać z moją rzeczywistością; opisać poprzez nią wszystko, co tam było, jak tam było. To, czego wyrazić nie zdołałem, wydrwiwałem przed sobą samym i tylko sobie to mówiłem. Obawiałem się w tych zamierzcz-łych czasach powagi Jakuba i okrążającej go, dosłownym murem nie do przebiccia, pracowitości – dlatego zazdrość kazała mi nie wierzyć w rozliczne podróże arki Jakuba i rozgrywające się w zamierzcz-łych czasach wydarzenia. Na szczęście jedyną moralnością była tolerancja: nikt z nas nie był czysty wobec nikogo – to pozwalało na narodziny krzepiącego poczucia wspólnoty. Podejrzywałem, że kwitnący nad Chechłem łubin ma coś wspólnego z ostatnimi wyczy-nymi Jakuba. Poza tym spędzaliśmy czas na badaniu nocnych scho-dów pochylonych jak nowo zatrudniony sługa w domu nieocenionej Patrycji, która uprawiała kalafiory. Płynęliśmy z Józefem zmęczeni kłótnią, kwiaty to były tylko małe kociątka – tyle że kolorowe, lub wybrałem się we wrześniu do Borosławic, ale w czerwcu Józef był zaskoczony tym, że w ogóle są we mnie jakiegokolwiek uczucia (nie miłość oczywiście) wzbudzone przez Marię. We wrześniu jechałem pamiętaną trasą z GT do Borosławic: nadszosowe drzewa, ciemna zieleń dogorywała spokojnie, nie przeszkadzała niczemu, Emerson, Lake and Palmer śpiewali *From the Beginning* i był we wrześniu widoczny nad ranem Orion. Rozmawiałem z Jakubem, arki nie ist-niały, a on nie przypominał ptaka trzepocącego się w klatce, pierw-sze chłody uczyniły z nas oczywiście tylko bezwolne okruchy pyłu, gdy mijało lato, byliśmy niczym bez wielości liści, które było sły-chać i które istniały zielono, jako nikt tańczyłem z Grażyną, ale za to ktoś (nagrany na płycie, z płyty przegrany na taśmie) śpiewał, że potrzebuje pewnej osoby najbardziej o północy – piosenka podobała mi się bardzo – dlatego, że Grażyna twierdziła, jakoby tylko moja niewydarzona obecność nie pozwalała iść jej spać – oczywiście prze-sadzała lub źle ją rozumiałem. Na razie był czerwiec, tak dawno jak nic i coś jeszcze nowego: Maria śniła mi się po nocach, bo widywa-łem ją codziennie, widywaliśmy się, bo ślepa nie była przecież, nie muszę dodawać okruchów, byliśmy jak pasemko zagubionej melo-dii lub czyjaś przyjazna drwina, kształt, który zwężony między

powiekami gotował się do wniknięcia. Sebastian płynął tuż obok mnie poprzez noc i wczesnoletnie jezioro: nieomal roślinność napowietrzna, wśród której płynęliśmy lub wślizgiwaliśmy się w coraz to nowe obszary wśródzielonej jasności: zdarzenia były naddźwiękowe, mogłem rozmawiać z Jakubem na ciepłym piasku – arka była bezpowrotnie utracona. Na karki opadały Sebastianowi i mnie mokre włosy, wiedziałem, że w szmerze wody, pękaniu banieczek, rozgrywa się kolejna historia, liturgia została zapomniana: czyjeś słowa (?) wypowiadały wierność temu, w co wierzone – my płynęliśmy nieświadomi, byliśmy niczym wobec wszechogarniającej strumyczki wody na szyi historii za naszymi głowami: wstawały święty i było tysiące zdarzeń, nie wiedzieliśmy o żadnym, a były tak blisko, poruszane pulsem na naszych szyjach właśnie: aż zmęczeni wpływalismy kretyńsko zadowoleni: każdy w głąb swoich oczu: wszystko się zmieniało, pasma pierzastej roślinności, drogi wśród drzew i nieznanne smugi kolorowych gwiazd, ich nie zgłębione nigdy proporcje: tam daleko każdy z nas zasypiał: skulony lub wygodnie na wznak: otwarte oczy i zielona ciemność: poczucie bezpieczeństwa, nie istnieliśmy dla siebie, smugi deszczu lub słońca były nadaremno, wyprzedzaliśmy w idiotyczny sposób, absolutnie niedoskonalnie i niepotrzebnie, ot – prymitywnie, całą historię, wyłączeni, nic nie odbierający: świat patrzył się na siebie. Osobiście wołałem się spytać, czy historia, którą wyprzedzamy, jest równie bezsensowna, jak ta, którą uroiły sobie nasze włosy: było późno.

**Donat Kirsch**

## **My sami, sami\***

*Arnoldowi Pokorze*

People try to put us down,  
Just because we get around.  
Things they do look awful cold  
Fragment piosenki grupy The Who: *My Generation*

Architektura nieco mauretańska, jak śródziemnomorska gemma. Tak to sobie wyobraziłbym, zresztą zupełnie niepotrzebnie. Corinna, Jeffrey i Jakub byliby wtedy w kraju Ostrogotów. Na ulicach uroczych w lecie, jak landrynki, miasteczek, przechadzaliby się żołnierze w czarnych, mimo upału, garniturach, białych koszulach, z aktówkami pod pachą, zresztą zwykli obywatele wyglądaliby identycznie. Jakiś muzyk grałby na gitarze, a później waliłby wściekle w klawisze. Wszędzie stałyby stragany zarzucone pomarańczami. Dziewczyny, rudowłose, nosiłyby zielone sukienki. Ze szkół wybiegałyby tłumek z trochę mniejszymi aktówkami i bardziej świeżymi włosami dziewczyn. Jakiś samotnik oglądałby samochód Jakuba, a oni piliby campari z lodem, patrząc na oszałamiające morze z setkami kolorowych żagli jak gwiazdy nocy. A dużo później Jakub piłby w milczeniu whisky (nie whiskey), patrząc na Corinnę. A przecież on przepłynąłby z mężem Corinny (Jeffreyem) błotnistą zatokę i mdłe światło (dla oczu). Kobieta ta stałaby obok opasłego Xięcia Eryka Lenextroda, piękna też z profilu. Podobno Jeff i Sebastian (jego syn) pływaliby wtedy po zatoce. A Jakub? O.K. Po prostu lato pisałoby poematy rozsypującymi się literami z kredy.

Przypomnę, jeszcze raz, gdy będę czekała na ich powrót. Za oknami blask zatoki, milczące miasto Monsu Desiderio. Miasto, nieliczni mieszkańcy rzadko wychodzili z domów. Xiężę gdzieś grał ze sobą w warcaby expressowe i eksperymentował, z wyglądu typowy naukowiec. Domy rozsypywały się powolutku, na ulicach wyrastała trawa, wyobrażane źdźbła. Na ulicach wędrowało, czarniejsze niż noc, światło zrodzone przez wrogie nam istoty z włóknistych mgławic Łabędzia, może podobne do Abraxasa wyrysowanego na wielu kamieniach. Mój mąż wypłynął na wody zatoki, zrobił to razem z Jakubem Jovestovem, człowiekiem, którego podejrzewałam, że stał na deszczu pod moim oknem i nie mówił nic ponad drwinę i obojętność. Co rano zatoka lśniła w słońcu. Zobaczyłem mojego syna, gdy wymyślał plany innych miast innych niż oczywi-

\* Pierwodruk w „Nurt” 1980, nr 4. Późniejsze wydanie w: „Gnosis” 1992, nr 4, oraz w tomie: D. KIRSCH: *Chronologia borealna*. Warszawa 2017.

ste Monsu Desiderio, i czekałem. Moja żona nigdy nie wie, co ma zrobić z tym, co odkrywam. Nawet teraz, za błotną zatoką. Łódź przecina fale wody wolnej od brudu i wodorostów, tu wieczorem lecimy po powierzchni, roztrzając fale żyłatek emitujących własne, niebieskie i różowe światło. Wystawioną za burtę rękę Jakuba delikatnie chwyta liliowo świecąca ryba. Nie gryzie, trzyma palce mocnymi zębami, może chce być blisko niego. Brzeg już blisko.

Może nie chcemy tego, bo coś jeszcze można. Wiatr ustaje i wiosłuję z zamkniętymi oczyma, nie chcąc zostać tu na zawsze. Od rana Jakub zanurza palce w spokojnej wodzie. Na drugim brzegu stoją rudery uwikłane w pomarańczowe gaje. Niebo jest zimne i lodowate. Wśród tej zwykłości wydaje się nam, że jesteśmy na innej planecie. Jakub macha ręką, bo wydaje mu się, że widzi bezuste dziecko pomarańczy. Dlatego że za przełęczą odkrywa się samotność w Okrutnym Królestwie Gdzie Wymyślono Samotność.

Nagle zapadnie wieczór, za zatoką, między ciasno zabudowanymi i opustoszałymi domkami. Pomyślę o mieszkańcach domków, dawno nieistniejących, ich życiu jak dygresja tradycji i stylu bycia nie zapewniająca już żadnej z pewności. Wyjdziemy, Jeffrey i ja, na pusty plac, pełen śladów jakby węglowego pyłu, przez ciemny korytarzyk. Poczujemy lęk, bo nie spadnie deszcz rozjaśniający puste piekło zapadającego zmroku. Gdzieś wejdziemy po schodach na piętro, zmierzch zmieni się w szary kurz wirujący w ciepłym dopadającym nas słońcu, wśród wyrwanych okiennic i szalonej zieleni, która nas zobaczy. Podłoga będzie z desek, pełna szpar. Tynk będzie opadał pod naciskiem palców i Jeffrey będzie coś mówił, lecz umilknie (jakby oczy zalały strugi czystego deszczu wiosny). Na deskach kurz, który nie wzniesie się tego dnia w powietrze, i rysunek na podłodze, wykonany kawałkiem cegły. Przedstawi profil kobiety, której rysy wymkną się klasycznym kategoriom gry zwanej piękno, trochę zaokrąglone, na całej podłodze pustego pokoiku. Nadal pełni lęku odnajdziemy pod ścianą elegancko pocięte i zawinięte w papier kawałki rzeźby. Będzie to twarz ta sama, umieszczana na leżącej obok wysokiej kolumience. Narzuci się nam myśl o związku rysunku i planowanego przez kogoś wyniesienia rzeźby. A na złożonej przez nas twarzy jasne włosy zakręcą się do tyłu, wyda nam się, że marmur zadrży jak pole wszędobylskich maków, pograżonych w okrutnej wojnie z chabrami. I uderzy nas świadomość, że to najpiękniejsza kobieta świata (bzdura), te kamienne ułamki, pozostałość po zwycięskich niegdyś Visigotach (czemu przez V?), przygotowane do wyniesienia. Znowu nasze nieśmiałe ręce dotkną kamienia i rysów kobiety przypominającej o celtyckich legendach. Oczywiście stanie się dla nas (no tak, bo zaistnieje tu piękno) (jakżeby inaczej), że istnieje maniak zakochany w tym martwym kawałku kamienia, który wyrysował go, by nie musieć stosować ciągłego odwijania

papieru, by utrzymać obraz przed oczyma w imię jeszcze innych wysiłków. Konieczność zabrania rzeźby? Nadejdzie tak zwany właściciel. Będziemy zdziwieni tym widokiem, za zatoką. On sprawi wrażenie wystraszonego czterdziestoletniego urzędnika, uzbrojonego w aktówkę i tatusiowatość, beznadziejnie zaganianego. Będzie pozbawiony wiedzy o naszych zamiarach. Spróbuje pokazać wagę swych innych zajęć. Ze szpar w podłodze powyjmuje niezwykle dokładne figurki wizygockich żołnierzy i tak zobaczymy ich po raz pierwszy. Wytłumaczy (ten chłopak), że owszem, on zapakuje. Lecz rzeźba będzie miała na brwiach uszkodzenie. Wyjaśni, że to on, z niemocy wobec piękna martwego i niewyobrażalnie podatnego na zniszczenia wszelkie. I zniknie rana na rzeźbie, i usłyszymy: ona sama to załagodzi, jakby posiadała magiczną moc. Wrócili w nocy, przez zarosłe trawą ulice, parki rozkrzewione i blask nielicznych świecących neonów. Spadło kilka kropel przelotnego deszczu, a fikusy wyglądały w świetle neonu na nawarstwienie turkusowych landrynek. Zobaczyli mnie w świetle drzwi za balkonem, opartą o poręcz. Nie wiedziałam, co robić z radości. Później siedzieliśmy w pokoju, pijąc zamrożone białe wino. Jeffrey grał na cytrze staroangielskie ballady. Zbierałam siły. Wydawało mi się, że jeśli tylko przeżyję tę noc, to skończy się dla mnie czas milczącego rozpadu, nocy wypełnionych wyrwami przestrzeni czarnego światła.

Dużo później w opustoszałych ruinach rozpanoszyłaby się śmierć. Ale wtedy zasnąłbym, mając zaledwie kilka lat. Moi rodzice mieszkaliby jeszcze w mieście Monsu Desiderio. Zasnęłbym słysząc głosy wpięrowo podniecone, a później uspokajające się coraz bardziej, słyszałbym muzykę strun i tych głosów. Ojciec i Jakub Jovestov opowiadaliby matce bajkę o jakiejś rzeźbie czy czymś w tym rodzaju. Zasnęłbym pomyślałbym, by ojciec zabrał mnie na przejażdżkę łódką. Wychodzę na balkon nieruchomy, lecz targany podmuchami niedostrzegalnego wiatru. Myślę o magii zablizniającej rany i o tym, że potrafię tylko opowiadać bajki. Może mam popływać łodzią po zatoce. W dłoni trzymam kieliszek zimnego białego wina i naderemno myślę o wielkości żagli, przecinających powierzchnię wysychającej zatoki. Piję wino na balkonie przed pustymi wieżowcami. Ulicą idzie dwóch starszych mężczyzn z aktówkami, w wymiętych garniturach. Między nimi, trzymając ich pod ręce, roześmiana rudowłosa dziewczyna. Gdy znikną z kręgu światła jej zielona sukienka, słyszę zrzedzące głosy podnieconych mężczyzn i bezlitosny śmiech upojonej ich towarzystwem wysokiej dziewczyny. Miałam wtedy ciemnobrązowe włosy i śmiałam się z nich obydwu. Chciałam recytować zapomniane wiersze Safony, pić zimne wino. Mówiłam, że Jakub zawsze czeka na widok dwóch lesbijek w łóżku. Piliśmy milczące wino, ze strachem wspomniłam samochodowy wypadek Jeffreya. Lecz śmiałyśmy się dalej, pijąc już whisky i Jeffrey

dokuczał mi mówiąc, że lepsza whiskey. Nie chciałam wierzyć, że gdzieś istnieje okrutne królestwo odkrytej niedawno samotności, gdzie fioletowa piana obmywa laguny i śmieszne gaje pomarańczy roznosiły zapach i śmiech zapisanego dziwnymi alfabetykami papieru.

W ruinie pełnej obsypujących się cegieł będzie moje mieszkanie, jedyne znośne. Wróciwszy wyciągnę skądś butelkę dużą Ballantines i położę się wygodnie na tapczanie. Przez pół nocy będę kontemplował świetliste liście wysokiego fikusa i smak whisky znieczuli mi dziąsła, aż będą jak z drewna. Znowu i znowu zechcę zanurzyć rękę w wodzie zatoki, gdy w nocy będziemy się przemykać między plamami liniowego światła, jeszcze raz i raz. Corinna? O małych ołowianych żołnierzach i bójkach, które wywołują między sobą te śmieszne istotki. Zbudziłbym się w nocy, nie wiedząc, czy słyszałbym ich głosy, tak lub nie. Siadłbym za biurkiem zarzuconym kartkami i zazdrościłbym Geraldowi Osmerowi jego poematu *Gruby jak cegła*. Wtedy zrozumiałbym, że tematem mojego dzieła mogłaby być historia wyprawy Jeffreya i Jakuba Jovestova za zatokę. Nie byłaby to wcale bajka, lecz opowieść o bitwie, jaką ci dwaj bohaterzy wydaliby straszliwemu księciu Visigotów w celu odzyskania zaklętej w marmur Księżniczki Corinny Uksor. Byłyby tam przemiany opisane i znane, pościgi w pomarańczowych gajach i udzielające dzielnej dwójce pomocy samotne Dzieci Pomarańczy, których oczy i usta naznaczone byłyby tajemniczym stygmatem snu uległego innym snom w nim zakopanym jak igła w stogu siana. W końcu odebrałoby temu Księciu symbole jego mocy: starą aktówkę i wymięty garnitur. Corinna, ożywiona nagle, śmiałaby się odziana w świeże barwy wiosny, a jej ciężkie brązowe włosy łapałyby wiatr podobny do oddechu, wyczelowany jak miniatutki tamtej nieistniejącej rzeźby, które rozdawałbym ludziom mi bliskim. Przeszkodziłbym (w ten nieskomplikowany sposób) zapomnieniu o Monsu Desiderio i o pewnych wydarzeniach. Wtedy poszedłbym spać. Rano miałaby miejsce wycieczka lśniącym od niklu rowerkiem. Rano zbudzi mnie sukienka zielona, leżąca na krześle. Miedziane i lśniące włosy jej (nagiej obecnie) posiadaczki będą leżeć na moim ramieniu i tylko przez chwilę pomyślę o serii skomplikowanych czynności, które będziemy musieli za chwilę wykonać. Zaklęty tymi rozmyślaniami nie odpowiem na uśmiech na jej bladej twarzy. Wstanę i przez okno wyjrzę na ulicę, na puste domy, kilkoro nielicznych mieszkańców okolicy, trawę wyrosłą między płytami chodników. Zdecyduję się wyjechać. W kilka godzin później Jeffrey i Sebastian odprowadzą mnie kawałek, będą machać na pożegnanie rękoma. Zobaczę w lusterku samochodu dwie oddalające się figurki różnego i wzrostu, i barwy. I zaraz, nagle za zakrętem, wpadnę w wir miasta pełnego głosów, ludzi i samochodów, sklepów i lokali, zaklnę i pojedę do domu szeroką dwupasmową ulicą. Xiążę Eryk uśmiechnął się do

mnie, nagi do pasa i ustrojony w klejnoty i kamee, atletycznie zbudowany, był mi tak bardzo bliski. Zręcznie (jako wytrawny polityk) ukrywał swój lęk przed mającymi nadciągnąć jesienią Wizygotami (wizytatorami). Opowiadałam mu to, co w dawnych latach opowiadało się w Monsu Desiderio, zwykle w bezksiężycowe noce, najlepiej zimą. O tym, jak to Jakub Jovestov oraz Jeffrey Khederos przeprawili się na tratwie przez zatokę i pokonali miliony wielce niesamowitych zdarzeń (coś w rodzaju smoków) i przeciwności. A ich oczy nauczyły się wtedy wielkiej odwagi. Opowiadałam Xięciu, jak będąc żoną Jeffreya Khederosa, nie mogłam znieść przyjaźni, która zrodziła się między dwoma mężczyznami. Nie wiadomo dokładnie, co tam znaleźli, przecież było coraz gorzej. Z trudem nauczyliśmy się przemykania między chciwymi szponami królestwa, gdzie odkryto samotność. Oni byli inni. Niektórzy mówią, że Jeffrey odnalazł tam portret swojej żony, narysowany kredą na podłodze jakiejś ruiny. W każdym bądź razie gdy wrócił, widać było, jak zżera go smutek wynaleziony przez tamtych parę kresiek, które wymyśliła za niego podłoga.

Nie chciałbym stworzyć tylko nowych planów prostokątnego miasta, pełnego okien jak zmrużone oczy, nie chciałbym pisać wierszy o śmierci tylko. Mój poemat *Spokojna tafla złocistego ognia* odniósłby wielki sukces, czyż nie czytałoby go wtedy tysiące ludziów (i innych pętałów). Lecz ja naprawdę kochałbym wszystkie śmiałe wyprawy, ów lęk palców, za pomocą którego witalibyśmy się co rano, zagubienie i śmieszność. Moja matka, Corinna, wydawałaby się tylko uśmiechniętą od ucha do ucha kolumną, białą i zapomnianą byłaby ciągle od nowa. I oczy, oczy byłyby ślepe i pełne. Nie rozumieliibyśmy wtedy kompletnie nic. Maniakalne i złe czary oczekiwałyby momentu pożądania i wiedziano by naprawdę, że ogień płonąłby bez ciepła, jak ciepło pozbawione oddechu na sekundy przed śmiercią. Cóż znaczyłyby więc owe przewrotne miary i logika nie uświadomionych zamiarów? Chciałbym poznać owych dni (między straganami pełnymi pomarańcz), nici i zależności łączących ową trójkę. Czy Jakub stałby na deszczu, czekając na moją matkę, nie wiadomo po co? I coź robiłaby Corinna, znając jego skrytość i okrucieństwo, którymi zasłynąłby, dowodząc akcją eksterminacji resztek Wizygotów? Cóż z tego? Może byliby w nocy parą przyjaciół, a w dzień parą kochanków? Może Jeffrey mówiłby, że mu wszystko obojętne (innymi słowy miałby wszystko w dupie)? Lecz to oni jeździliby do państwa Ostrogotów, słuchaliby tam instrumentów strunowych, a Corinna, w te szczęśliwe dni, uśmiechałaby się zalotnie do zakochanego w niej muzyka. Piliby czerwone wytrawne wino, ktoś znowu patrzyłby na nich, śmiejąc się długo i wytrwale przez sam swój zamiar. Byłyby noce po upalnych dniach i kawiarnie w cienistych placach, gdzie wyczuwalne byłoby cie-

pło nagrzanym murów. Corinna przytuliłaby policzek do ściany, a Jeffrey oparłby się ręką, patrząc na nią. Słyszeli by muzykę i ktoś szukałby Corinny widzianej przelotnie, w palcach trzymaliby kruche kieliszki wypełnione czerwonym i pijanym winem. Mówiłam Xięciu o pomysle reklamowania mojej osoby. O zmyślnym odkryciu kolekcji rzeźb cesarza Galiena, wśród których miało być także moje popiersie, umieszczone na białej kolumbie. Jeffrey i Jakub dużo o tym mówili, mieliśmy pieniądze i piliśmy do woli, przez długie noce, w czasie wycieczki do kraju rodzinnego Gotów. Xięciu Erykowi podobała się ta historia. Był Xiążę delikatnym młodzieńcem o nieomal kobiecych rysach, skromnie ubranym.

Zbudzi mnie śmiech dziewczyny rudowłosej i pięknie zbudowanej. Ona o bzdurach gadanych przez sen, dam jej klapsa w goły tyłek i pójdę ogolić się do łazienki, słyszeć podśpiewywanie jej gołej, kręcącej się po pokoju, nie popatrzę przez okno. Przypomnę sobie nocne wystawanie pod oknem Corinny w ciepłym deszczu, będę się sobie wydawał śmieszny i mały, pozbawiony dowcipu. Ona będzie czekać, lecz ja nie wejdę na schody bez siły na odejście. Zostanę w poddeszczowym i ciepłym towarzystwie rozgadanych domów (bezludnych prawie) i liści, może asfaltów. Rano wyjdę z tamtą uroczą osobką na spacer, będzie ubrana w zieloną sukienkę i przejdziemy się po mieście. Dzień, wymijam kilku ludzi z aktówkami. Jakub (ubrany w niebieską koszulę i jasne spodnie) żegna się z dziewczyną o włosach jak futro lisa. Jestem z Sebastianem, który powinien to pamiętać. W trójkę idziemy na brzeg zatoki, Sebastian coś mówi, idąc między nami. Na piasku leży wyciągnięta łódź żaglowa. Ma zielony żagiel, turkusowy i delikatny pomarańczowy wzór na ciemnoniebieskim kadłubie. Z wysiłkiem spychamy ją na wodę, stopy grzęzną w piasku, tu, pod jasnym niebem, jak szklane naczynie, które łapie nas w pułapkę. Widzimy drugi brzeg, jakieś gaje, dalej góry i przełęcz, roześmianą twarz słońca. Za rogami bliskiego domu chowa się mężczyzna o lisiej twarzy, do wymiętego brudnego garnituru przyciska dramatycznym gestem wynędzniałą aktówkę, może jego twarz płacze nad brudną białą koszulą.

Płynęlibyśmy przez zatokę śnieżnobiałą od grzyw pian i strug niskich fal. I zaraz tafla byłaby spokojna. Może płynąłby z nami ów urzędniczyna, łysy i z brzuszkiem, prychający wodą. A Jakub? Miałby być na przyjęciu u Xięcia, byłaby tam Corinna (i ja nabijający się z monarszego majestatu). I tłum rudych dziewczyn w zielonych sukienkach, i tłum urzędników z teczkami pełnymi zdobycznych kosztowności. Łódź kierowana pewną ręką mknęłaby przez wachlarze śnieżnej piany jak przekornie przekrzywiony w locie ptak. Szare włosy Jeffreya zbryzgałaby woda i wróciłby. Zbudziłam się rano. W łazience sapał niedźwiedziowaty Xiążę, miłośnik: Experimentów, Expressów, biegły w każdym Exposé. Lecz były i dni spę-

dzzone z Jakubem, ciepłe noce, gdy piliśmy to złote wino i śmiały się jego szare oczy, i bliską była opalona skóra. Rozmowy, tysiące jego powodów, by mnie oczekiwać i unikać, na kamiennych stopniach i w nocach wśród zarośli turkusowo rozjarzonych fikusów. Jak w tym świetle wyglądały nasze twarze bez zmarszczek, ręce? Gdy myśleliśmy, że nigdy nie umrzemy, zakochani w lecie. Skończyłem się myć i wycierałem się cynobrowym ręcznikiem, stojąc na zielonej kafelkowej podłodze łazienki. Zaciąłem się przy goleniu, to śmieszne. Corinna śpi naga pod niebieskim kocem, kafelki świecą mdławo. Myślę, że ona nosi już nasze dziecko. Trudno, po latach, tym bardziej że dawno nie opowiadałam o wyprawie. Był później czas, gdy w pustych oknach zimowy wiatr otwierał okna. Chciałam mówić, a mój syn spał niespokojnie w te straszne noce. Teraz jego poemat to klejnot literatury; także gockiej. Lecz on nie pisał już, wierzył w widma Jeffreya i Jakuba. Wszystko zniszczył wizygocki najazd. Jeffrey zginął w walkach, losu Jakuba nikt nie znał. Lecz skąd wizygocki rzeźbiarz i muzyk znał mój profil styl klasyczny, inny od mauretańskich, niepojęty dla tego artysty? Lecz cóż Jeffrey i Jakub zobaczyli wcześniej? Tajemnica? Po wojnie wyszłam za mąż za Xięcia. I mówili, że widziano inkrustowany nikiem i jaspisem samochód Jakuba Jovestova, nikt nie ośmielił się zaprzeczyć, jakoby go tam nie było, za kierownicą, w środku. Młody człowiek czekający na deszczu? Podbiegłam do Jakuba, bo znałam go przed poznanie Jeffreya. Widywaliśmy się często, lecz nigdy nie słyszałam, by mówił to, co chciałam usłyszeć. Pokłóciliśmy się na przyjęciu u tego bogatego bubka Eryka Lenextroda, który co parę tygodni robił sobie operację plastyczną. Jakub potrzebował pewnej formy pamięci i niczego więcej; zniszczony swoimi sprawami i możliwością opuszczenia obracającego się w ruinę miasta Monsu Desiderio. Nie wybiorę mieszkania w mieście. Zrozumiem, wbrew sobie, że powinienem opuścić Corinnę. Wyruszę na brudne ulice królestwa, gdzie wymyślono samotność, a fikusy mają szare brudne liście. Będę przytulał twarz do splekiwanej deszczem szyby. Zostanę sam i nikt mi już nie dopowie. Co zobaczymy za zatoką? Osobiście sądzę, że piękną twarz Corinny Uksor, której widoku będę unikać później na przyjęciu. Jak jednak ożywie jej twarz, która skamienieje w mojej pamięci, pozbawioną ożywczych wiosennych traw? A gdy wyjdę rano na ulicę, zobaczę, jak ta ruda dziewczyna (z kiosku obok) sprzedaje facetowi z aktówką tandetne miniaturki twarzy Matki Boskiej z Piety Michała Anioła. Znowu będę w rozsypującym się mieście Monsu Desiderio. I później nadeszliby wizygoccy zdobywcy. Tu do miasta opuszczonego teraz lub po ich najeździe, pełnego strasznych czarnych świateł. Oni czciliby słońce, ogień i alkohol, obrazy ognia utkano ze złotych nici; które obracałyby sen w zawiłość metafory i z których Corinna tkałaby płótno pełne tajemni-

czych wzorów, obracających wniwecz słońce i przenikające się tafle lodowatych (choć upalnych) dni. Z roślin podobnych do ostrych penisów Wizygoci wykonywaliby dzielne pelisy bojowe. Podobno czciłby jakieś miejsce wśród zrujnowanych domów, można by tam dojechać samochodem, w zapomnieniu elementów potęgi najeźdźców. Lecz później i oni zamarliby, pozostałby smutek oczu Corinny Uksor. Pozostałaby legenda utrwalona w latach owej bezsensownej wojny. Lecz długo nocami i przy ogniskach Wizygoci opowiadałby historie warte upowszechnienia, niezrozumiałe dla nich przez swoją delikatność i nieśmiałość. Przemierzyliby tysiące mil, więc czym miałyby być wyprawa przez cuchnące bajoro. Bo nie wiedzieliby nic o liliowej luminescencji, ona zgasłaby wraz z ich przybyciem. Niemniej byłiby pod urokiem historii ze schyłkowej epoki. Byłaby to dla nich próba nieśmiała i niezrozumiała. Mówiono by o rzeźbiarzu i rysowniku (trzymając w dłoniach poręczne aktówki, poprawiając krawaty), który wyrzeźbiłby głowę Corinny Uksor (ich poddanej). Dziewczyny w zielonych sukienkach zazdrościłyby jej urody, mrużące oczy od słońca, gryzące trzymane w dłoniach żdźbła trawy. A ten bohater sztuki przemykałby się tylko z teczką w rękę przez ulice umierającego Monsu Desiderio. Lecz (u diabła) kto wytłumaczyłby, skąd rysunek profilu, wykonany nonszalancko kawałkiem cegły? I jak Jeffrey i Jakub mogliby go odnaleźć, żyjąc jeszcze? Przecież Jeffrey zginąłby zabity przez Wizygotów, a Jakub odjechałby, korzystając z posiadanego samochodu. Jednak Wizygoci zamarliby bez śladu, chociaż wcześniej nadeszliby jesienią. Powiedziałbym więcej, bo byłiby już ludzie widzący przejazd jego samochodu, zmniejszonego do rozmiarów połyskliwej kropli. Istniałby wreszcie ów subtelny, lecz deliryczny poemat *Spokojna fala złociwego ognia*. Znowu byłoby widać luminescencję na wodach wysychającej zatoki, byłaby Corinna pamiętająca Jakuba moknącego na deszczu, a on spotkałby ją na przyjęciu u Xięcia Eryka Lenextroda. I po diabła? Sam nie wiedziałbym tego, wychodząc na tajemniczą zatokę, gdzie jak młody kwiat meduzy rozchylałoby się rozniesione wiatrem liliowe światło. Może litery z kredy i okrutne królestwo samotności.